

TEATR

# TACY MILI I TACY GŁUPI

JERZY NIESIOBĘDZKI

**P**ozycja komedii Michała Bałuckiego w teatrze polskim jest dziś dwuznaczna. O Bałuckim mówią, że pisał pośpiesznie i byle jak, że obracając cały swój dowcip przeciwko tępym krakowskim urzędnikom magistrackim nie wykroczył poza granicę mieszczańskiej farsy, że jego sztuki starzały się szybciej niż on sam. Ale z drugiej strony tegoż samego Bałuckiego teatry ciągle jednak wystawiają. Bo jest to autor dobry na okres karnawału, bo ciągle jeszcze bawi — jeśli już nie każdego widza, to w każdym bądź razie znaczną część publiczności — bo zapewnia wpływy kasowe. Ta ostatnia okoliczność najbardziej chyba zresztą przemawia za wystawianiem Bałuckiego. Pozostając jednak równocześnie najczęściej argumentem jedynym, prowadzi do inscenizacji kalekich przygotowywanych pośpiesznie, do przedstawień pozbawionych jakichkolwiek wartości artystycznych.

A tymczasem — jak dobrze wiadomo — farsa jest tylko wówczas naprawdę zabawna, i tylko wówczas przynosi publiczności rzeczywistą satysfakcję artystyczną, gdy

na scenie uszlachetnia ją sam teatr. W przypadku komedii Bałuckiego, skoro się już je wystawia, należałoby więc najpierw rozstrzygnąć dylemat w jakim kierunku teatr miałby je uszlachetniać? Jedno z rozstrzygnięć dawały spektakle, w których za pośrednictwem najrozmaitszych zabiegów inscenizacyjno-widowiskowych, starano się komedie Bałuckiego gwałtownie uwspółcześniać. Ale przyoblekanie postaci autora „Grubych ryb” w dzisiejsze kostiumy, wkładanie im do rąk dzisiejszych rekwizytów, i szereg innych podobnych zabiegów, przynosiło z reguły rezultaty żałosne. Odmiernym okiem na sztukę Bałuckiego patrzył Boy-Zeleński. Starł się uzasadniać, że można na ich przykładzie obserwować „...współtwórcze działanie czasu, który powłóki miłą i rzewną patyną te niezbyt wybredne cacka i dał im nowe niezamierzone wręcz przez autora, momenty artystyczne”.

Boy miał chyba sporo racji. Perypetie postaci Bałuckiego są banalne, a wzbogacenie ich o realia dnia dzisiejszego niewiele tu zmienia. Co innego pokazać w teatrze

te same postaci i te same sytuacje odbite jakby w lustrze stylu późnej secesji. Oznacza to pomnożenie w spektaklu elementu gry. Oznacza postawienie aktorom zadania by pokazywali nie tyle charaktery, co przede wszystkim konwencjonalność działań bohaterów Bałuckiego. Oznacza szukanie zabawy po prostu w swoistej teatralnej żonglerce, w której liczą się przede wszystkim umiejętności warsztatowe aktorów.

Że istotnie tak właśnie Bałuckiego wystawiać można, i że — co najważniejsze — tak go wystawiać warto, zaświadcza bydgoskie przedstawienie „Radców pana radcy”.

Kostiumy, meble, rekwizyty i całe urządzenie mieszkania radcy miejskiego Piotra Dżiszewskiego w spektaklu granym na scenie Teatru Polskiego przywodzi na myśl ilustrację z fin de siècle'owych żurnalów mody. W zakomponowanym w ten sposób przez Lucję Kossakowską wnętrzu, reżyser przedstawienia — Jerzy Wróblewski — rozgrywa akcję sztuki w szybkim, jak na komedię przystało tempie i w całkowitej zgodzie ze scenariuszem Bałuckiego. W spektaklu co jakiś czas pojawia się piosenka, co jakiś czas aktorzy tańczą. Ale nie są to elementy inscenizacyjnie obce, bu-

rzące jedność stylową widowiska. Przeciwnie: Krystyna Wodnicka, wiążąc teksty swoich piosenek z fabułą sztuki, a Barbara Fijewska, podkreślając choreograficznie rytm tej czy innej sceny, bardzo przyczyniają się nie tylko do wyakcentowania, ale i do sparodiowania towarzyskiego bon-tonu, któremu podlegają postaci sztuki.

Jedną z głównych cech bydgoskich „Radców pana radcy” jest inscenizacyjna konsekwencja, obecna zarówno w ogólnych założeniach widowiskowych spektaklu jak w interpretacji każdej roli. W przedstawieniu „Radców pana radcy” wyreżyserowanym przez Jerzego Wróblewskiego, nie ma miejsca na prymitywną karykaturę, i nie ma też miejsca na — tak częste w innych realizacjach tej sztuki — demaskowanie bohaterów Bałuckiego poprzez bezpośrednie wyolbrzymienie ich przypadłości moralnych czy charakterologicznych. Dżiszewski (Roman Metzler), Ewa (Zofia Briske-Krajewicz), Helenka (Krystyna Michel), Eufrozyna (Krystyna Bartkiewicz), Zdzisław (Janusz Hamerszmit), Karol (Bogusław Kubicki) — wszyscy oni prezentują się widzom najpierw jako ludzie niezwykle dobrze wychowani, wytworni, znający etykietę towarzyską itd. itd. Ale kręcąc się wokół siebie w lansadach i przewidzianych konwensansem piruetach, wysilając się na wzajemne obdzielanie się uśmiechami by poza nimi knuć małe, przyziemne intryki, okazują się w końcu postaciami tyleż miłymi, co wewnątrz pustymi i żałośnie głupimi.



Krystyna Bartkiewicz i Janusz Hamerszmit  
(Fot. S. Wasilewski)

„Radców pana radcy” Michała Bałuckiego w Teatrze Polskim w Bydgoszczy. Reżyseria: Jerzy Wróblewski; scenografia: Lucja Kossakowska; teksty piosenek: Krystyna Wodnicka; muzyka: Stanisław Fiałkowski; choreografia: Barbara Fijewska. Premiera 1 marca 1975 r.